

Indywidualny mit neurotyka lub poezja i prawda w nerwicy

J.Lacan

„Indywidualny mit neurotyka lub poezja i prawda w nerwicy” jest wykładem wygłoszonym w Akademii filozoficznej Jeana Wahla. Zapisany tekst [wystąpienia] został rozpowszechniony w 1953 bez zgody Jacques'a Lacana i bez jego poprawek, (por. *Écrits*, s. 72, przypis 1). Obecna wersja to wersja spisana przez J. A. Millera w czasopiśmie *Ornicar?*, numer 17-18, wyd. Seuil 1978, s. 290-307.

Będę wam dzisiaj opowiadał o temacie, który muszę nieco przeformułować, i który wydaje mi się tematem trudnym.

Trudność tego wystąpienia nie leży w jego istocie. Związana jest ona z faktem, że temat ten dotyczy pewnej nowości, którą pozwoliły mi zauważyć moje doświadczenie analityczne oraz próby zgłębiania fundamentalnej rzeczywistości analizy w trakcie mojego nauczania zwanego „seminarium”. Wyekstrahowanie tej oryginalnej części z owego nauczania i doświadczenia [analitycznego], by dać wam odczuć owej rzeczywistości doniosłość, wiąże się ze szczególnymi trudnościami.

To dlatego proszę was z góry o pobłażliwość, jeśli, być może, wyniknie dla was jakaś trudność z pojęciem tego, w czym rzecz.

I

Psychoanaliza, muszę to przypomnieć na wstępie, jest dyscypliną, która w zbiorze nauk stoi na szczególnej pozycji. Mówi się często, że nie jest nauką w sensie właściwym, co zdaje się implikować, na zasadzie kontrastu, że jest ona po prostu sztuką. Jest błędem, jeśli uważa się przez to, że jest ona jedynie techniką – metodą operacyjną, zbiorem recept. Ale nie jest ona sztuką, w takim sensie, w jakim używano tego słowa mówiąc o sztukach wyzwolonych – znacie całą ich serię – od astronomii do dialektyki, przeskoczywszy przez arytmetykę, geometrię, muzykę i gramatykę.

Z pewnością trudno nam dziś zrozumieć funkcję i doniosłość rzeczonych sztuk wyzwolonych w życiu i myśli średniowiecznych mistrzów. Wszelako oczywistym jest, że to, co je odróżnia od nauk, które z nimi zerwały, to fakt, że utrzymują one w pierwszym planie coś, co można by nazwać fundamentalnym związkiem z ludzką miarą. Mało tego! Być może psychoanaliza jest aktualnie jedyną dyscypliną, którą można by porównać do sztuk wolnych, bo utrzymuje ona ten związek ludzkiej miary z samym człowiekiem – związek wewnętrzny, zamknięty w sobie, niewyczerpalny, cykliczny, zakładający przede wszystkim używanie mowy.

To w tym aspekcie doświadczenie analityczne zdecydowanie nie daje się zobiektywizować. Zakłada ono zawsze w głębi siebie ukazywanie się prawdy, która nie może być wypowiedziana, dlatego, że składa się ona sama z mowy i trzeba by poniekąd wypowiedzieć samą mowę, czyli coś, co właściwie nie może zostać wypowiedziane jako mowa.

Widzimy skądinąd, że od psychoanalizy oddzielają się metody dążące do zobiektywizowania środków wpływu na człowieka – ludzkiego przedmiotu. Ale są to jedynie techniki wywodzące się z tej podstawowej sztuki o tyle, o ile jest ona tworzona przez tę intersubiektywną relację, która nie może, jak powiedziałem, być wyczerpana - jest ona bowiem tym, co czyni z nas ludzi. Tym niemniej powinniśmy to mimo wszystko próbować wyjaśnić formułą, która dałaby [tej relacji] jakiś fundament – i to dlatego w głębi doświadczenia analitycznego leży mit.

Mit daje dyskursywną formułę czemuś, co nie może być przekazane w definicji prawdy, bo definicja prawdy może polegać jedynie na sobie samej i mowa tworzy ją w miarę, jak sama

postępuje. Mowa nie może objąć sama siebie, ani też ruchu dostępu do prawdy, jako prawdy obiektywnej. Może ją tylko wyrażać – a to na sposób mityczny. W tym sensie możemy mówić, że to w czym teoria analityczna konkretyzuje relację intersubiektywną – kompleks Edypa, ma wartość mitu.

Podam wam dzisiaj serię faktów związanych z doświadczeniem [analitycznym], którą spróbuję zegzemplifikować odnośnie formacji stwierdzanych w życiu pacjentów, których przyjmujemy do analizy – na przykład neurotyków – formacji znanych wszystkim tym, którym doświadczenie analityczne nie jest zupełnie obce. Te formacje wymagają dodania do mitu edypalnego (jako, że znajduje się on w centrum doświadczenia analitycznego) pewnych strukturalnych modyfikacji związanych z naszym własnym wkładem w rozumienie doświadczenia analitycznego. Pozwoli nam to następnie pojąć, że teoria analityczna jest całkowicie zależna od fundamentalnego konfliktu, który za pośrednictwem rywalizacji z ojcem łączy podmiot z podstawową symboliczną wartością. To zaś z kolei, jak zobaczycie, jest zawsze zależne od pewnego konkretnego obniżenia rangi figury ojca, obniżenia związanego być może ze szczególnymi warunkami społecznymi. Samo doświadczenie rozpościera się między tym obrazem ojca – zawsze zdegradowanym oraz obrazem, który nasza praktyka pozwala nam coraz lepiej poznać i zmierzyć wpływ na samego analityka w tym sensie, że w niewątpliwie ukrytej i prawie zaprzeczanej przez teorię analityczną formie, mimo wszystko przybiera on [analityk] w symbolicznej relacji z podmiotem, w sposób prawie potajemny, pozycję tej wymazanej przez schyłek naszej historii postaci – mistrza, mistrza moralnego, mistrza, który ustanawia w wymiarze podstawowych relacji ludzkich tego, kto znajduje się w stanie niewiedzy, i któremu umożliwia on coś, co można nazwać dostępem do świadomości, a nawet do mądrości, poprzez zapoznanie się z ludzką kondycją.

Zaufamy definicji mitu jako pewnej zobiektywizowanej reprezentacji eposu lub gestu wyjaśniającego w wyobraźniowy sposób podstawowe relacje charakterystyczne dla pewnego trybu ludzkiego bycia w określonej epoce, jeśli rozumiemy ów mit jako ukrytą bądź jawną manifestację społeczną tego trybu - wirtualną lub zrealizowaną, pełną lub pozbawioną znaczenia. Doświadczenie dostarcza nam wielu przykładów, które zgadzają się z tym schematem – mitem we właściwym sensie. Pokażę wam to na przykładzie, który uważam za najbliższy pamięci tych wszystkich spośród nas, którzy interesują się owymi zagadnieniami, zapożyczając go z jednej z wielkich analiz przypadków [observations] Freuda.

Zainteresowanie tymi analizami przypadków ostatnio wzrosło, co nie zmienia faktu, że jeden z naszych wybitnych współbraci wyrażał ostatnio w stosunku do nich – usłyszałem to z jego ust – rodzaj pogardy. Technika – mówił – jest w nich tyle niezdarna, ile archaiczna. Koniec końców taki punkt widzenia może mieć ręce i nogi jeśli mówimy o postępiech w kwestii poznania relacji intersubiektywnej, interpretując ją jedynie poprzez relacje ustalające się między podmiotem i nami w rzeczywistości seansów. Ale czy mój interlokutor musiał doprowadzić rzeczy do tego, by rzec, że przypadki Freuda były źle dobrane? Można z pewnością powiedzieć, że są niekompletne, że w wielu z nich jest to psychoanaliza przerwana w środku drogi – są to kawałki analizy. Ale sam ten fakt powinno skłonić nas do refleksji – byśmy zapytali się, dlaczego Freud dokonał takiego wyboru. Rzecz jasna, jeśli ufamy Freudowi. A trzeba mu ufać.

Nie wystarczy powiedzieć – tak, jak to robił ten, którego wypowiedź wam zreferowałem – że z pewnością mają te przypadki charakter wystarczająco zachęcający, by wskazać nam, że gdzieś tam wystarczy ziarno prawdy, by zdołała owa prawda prześwitywać i wyłaniać się wbrew przeszkodom, które stawia sposób przedstawiania przypadku. Nie sądzę, że był to dobry ogląd rzeczy. Tak naprawdę drzewo codziennej praktyki ukrywało przed mym kolegą ogrom lasu wyłaniający się z tekstów Freuda.

Na waszą prośbę wybrałem „Człowieka Szczura”, i sądzę, że mogę uzasadnić zainteresowanie Freuda tym przypadkiem.

Chodzi o nerwicę obsesyjną. Myślę, że wszyscy, którzy przyszli wysłuchać tej konferencji słyszeli o tym, co uważa się za korzeń i strukturę tej nerwicy – czyli o agresywnym napięciu, instynktualnej fiksacji, itd. Postęp teorii analitycznej ustanowił jako źródło naszego pojęcia o nerwicy obsesyjnej pewną teorię. Bez wątplenia, taki zakres fantazmatycznych lub wyobraźniowych tematów, którą mamy w nawyku odnajdować w analizie nerwicy obsesyjnej znajduje się również w „Człowieku Szczurze”. Ale ten upewniający aspekt, jaki mają dla czytelników bądź uczniów myśli znajome, spopularyzowane, maskuje być może przed czytelnikiem oryginalność analizy tego przypadku oraz jej wyjątkowo znaczący i przekonujący charakter.

Przypadek ten bierze tytuł, jak wiecie, z fascynującego fantazmatu, który, w obrębie psychologii kryzysu prowadzącego pacjenta do analizy, ma oczywistą funkcję rozpętania. Jest to opowieść o torturze, która zawsze cieszyła się szczególnym zainteresowaniem, a nawet prawdziwą sławą. Torturze polegającej na zagłębieniu podnieconego sztucznymi środkami szczura w odbycie torturowanego za pomocą mniej lub bardziej przemyślnej techniki. Pierwsze wysłuchanie tej opowieści powoduje u pacjenta stan przerażenia i zafascynowania, który nie rozpętuje nerwicy, ale aktualizuje jej tematy i wznieca lęk. Wynika z tego cały skomplikowany proces, którego strukturze musimy się przyjrzeć.

Fantazmat ten jest z pewnością podstawowy dla teorii determinizmu nerwicy i pojawia się on w wielu tematach w trakcie analizy przypadku. Czy znaczy to, że właśnie dlatego stoi on w centrum zainteresowania? Nie tylko tak mi się nie wydaje, ale jestem pewien, że podczas uważnej lektury zdamy sobie sprawę, że ciekawość ta wynika raczej z wyjątkowej szczególności przypadku [Człowieka Szczura].

Jak zawsze podkreślał Freud, każdy przypadek musi być rozpatrywany w swej szczególności, tak jakbyśmy nie wiedzieli nic o teorii. A to, co czyni ten przypadek szczególnym, to jawny, widoczny charakter relacji w grze. Pouczająca wartość tego szczególnego przypadku polega na jego prostocie. Tak samo w geometrii szczególny przypadek może mieć zachwycającą wyższość oczywistości w stosunku do dowodzenia, którego prawda, przez wzgląd na swój dyskursywny charakter, pozostanie zakryta cieniem długiego ciągu dedukcji.

Oto na czym polega oryginalność przypadku – co jawi się każdemu trochę uważniejszemu czytelnikowi.

Konstelacja – dlaczego nie – w tym sensie, w jakim mówią o niej astrologowie – źródłowa konstelacja, która przewodziła narodzinom podmiotu, jego przeznaczeniu i, powiem wręcz, jego prehistorii – czyli fundamentalnym rodzinnym relacjom, które nadały strukturę unii jego rodziców, konstelacja ta utrzymuje określony związek (być może nadający się do zdefiniowania jakąś transformacyjną formułą) z tym, co jawi się jako najbardziej przypadkowe, najbardziej fantazmatyczne, chorobliwe w najbardziej paradoksalny sposób tego przypadku – mowa tu o ostatnim stanie rozwoju jego ogromnej, natrętnej obawy – o wyobraźniowej scenerii, do której dochodzi jako do rozwiązania lęku związanego z rozpętaniami kryzysu.

Konstelacja podmiotu jest uformowana w tradycji rodzinnej przez opowieść o jakiejś liczbie konturów określających związek rodziców.

Trzeba wiedzieć, że ojciec był podoficerem na początku swej kariery, i że pozostał bardzo „pod-oficerem” – z nutką autorytetu, ale nieco szyderczo – dokładnie tak, jak to brzmi. Towarzyszy mu bezustannie pewne poczucie wyższości względem mu współczesnych, a mieszanka zuchwałości i przepychu czynią z niego konwencjonalną osobistość, którą odnajduje się w sympatycznym człowieku opisanym przez pacjenta. Ów ojciec znalazł się w pozycji, z której mógł zawrzeć coś, co nazywamy korzystnym małżeństwem – jego żona należała do o wiele wyższego milieu w burżuazyjnej hierarchii i przyniosła mu ona zarazem środki do życia i samo usytuowanie, z którego czerpie korzyść w momencie, kiedy rodzi im się dziecko. Prestiż leży zatem po stronie matki. Jedną z najczęstszych przekorności między tymi osobami, które w zasadzie dobrze ze sobą żyją, jest rodzaj gry, która polega na dialogu małżonków – żona robi zabawną aluzję do gorącego, przedmałżeńskiego przywiązania jej męża do biednej, ale za to ładnej, dziewczyny, a mąż odkrzykuje, że chodzi o rzecz tyle przelotną, ile odległą i zapomnianą. Ale ta gra, której wielokrotne opowiadanie zakłada być może, że zawiera ona zmyśloną część, z pewnością wywarła

głębokie wrażenie na młodego człowieka, który później stanie się naszym pacjentem.

Kolejny element rodzinnego mitu jest równie ważny. Ojciec podczas swej militarnej kariery spotkał się z czymś, co w powściągliwych słowach możemy nazwać tarapatami. Ni mniej, ni więcej, roztrwonił w grze środki regimentu, których był dyspozytorem z tytułu swych funkcji. Swoją honor, a nawet życie – przynajmniej w sensie kariery; osobistości, którą mógł być w społeczeństwie – zawdzięczał tylko i wyłącznie interwencji przyjaciela, który pożyczył mu sumę, jaką należało zwrócić, i który to w ten sposób został jego wybawcą. O tym momencie mówi się jako o naprawdę ważnym i znaczącym epizodzie ojcowskiej przeszłości.

Oto jak prezentuje się konstelacja rodzinna pacjenta. Jej opowiadanie wyłania się kawałek po kawałku w trakcie analizy w taki sposób, że pacjent nijak nie łączy tego z tym, co dzieje się aktualnie. Potrzeba całej intuicji Freuda, by zrozumieć, że tam właśnie znajdują się podstawowe elementy, które zaowocują rozpętnaniem nerwicy obsesyjnej. Konflikt kobieta bogata/kobieta biedna bardzo dokładnie powtórzył się w życiu pacjenta w momencie, kiedy jego ojciec nakłaniał go do poślubienia kobiety bogatej, i to właśnie wtedy właściwie rozpętała się nerwica. Przychodząc z tym faktem, pacjent prawie w tym samym czasie mówi: „mówię panu coś, co z pewnością nie ma żadnego związku z tym, co mi się przytrafiło”. Wtedy Freud natychmiast zauważa związek.

To, co dostrzega się w panoramicznym spojrzeniu analizy przypadku, to dokładna odpowiedniość między elementami początkowymi rodzinnej konstelacji pacjenta, a definitywnym rozwojem obsesji fantazmatycznej. Czym jest ten ostateczny rozwój? Obraz tortury jest z początku wywołany przez pacjenta w trybie myślenia odpowiedniego obsesyjnemu – chodzi o wszystkie rodzaje obaw – czyli, że ta tortura może być pewnego dnia sprokurowana osobom, które są mu najdroższe, zwłaszcza osobie wyidealizowanej, biednej kobiety, której przyrzeka on miłość, jakiej styl i wartość za moment ujrzymy – to sama forma miłości, do jakiej zdolny jest podmiot obsesyjny; czy też, jeszcze bardziej paradoksalnie, że [torturze zostanie poddany] ojciec, który w tamtym momencie jest jednakowoż na tamym świecie, zredukowany do wyimaginowanej osoby. Ale pacjent w końcu został doprowadzony do zachowań pokazujących nam, że konstrukcje neurotyczne obsesyjnego kończą się czasami konstrukcjami urojeniowymi.

Znajduje się w sytuacji, w której musi zapłacić cenę przedmiotu, który warto bliżej opisać – a mianowicie należącej do niego pary okularów, które zgubił w trakcie wielkich manewrów, gdzie została mu opowiedziana historia rzeczony tortury, i gdzie rozpętał się również jego aktualny kryzys. Prosi on swego wiedeńskiego optyka o pilną wymianę okularów – bo wszystko to dzieje się w dawnych Austro-Węgrach, przed wybuchem wojny 1914 roku – ten zaś wysłał mu kurierem małą paczkę zawierającą przedmiot. Tak więc ten sam kapitan, który opowiedział mu historię tortury, i który wywierał nań wrażenie poprzez owo popisywanie się okrutnym smakiem, informuje go, że jest [tę sumę] dłużny porucznikowi A, który zajmuje się sprawami pocztowymi i powinien był tę kwotę za niego założyć. Ostateczny rozwój kryzysu będzie związany właśnie z tą ideą zwrotu. Pacjent w istocie wymyśla sobie neurotyczny obowiązek zwrotu tej sumy, ale pod pewnymi określonymi warunkami. Narzuca on sobie ów obowiązek w formie wewnętrznego nakazu, który jest zaprzeczeniem pierwszej myśli - „nie płacić”. I oto widzimy go połączonego z samym sobą przysięgą „zapłacić A”. Tym niemniej bardzo szybko zdaje sobie sprawę, że ten kategoryczny imperatyw jest zupełnie nieadekwatny, bo to nie A zajmuje się sprawami pocztowymi, ale porucznik B.

To nie wszystko. W tym samym momencie, kiedy te elukubracje w nim powstają, pacjent wie doskonale (odkrywamy to dalej), że w rzeczywistości nie jest też winien tej sumy porucznikowi B, ale po prostu pani z poczty, która zechciała zaufać B, szacownemu panu oficerowi z sąsiedztwa. Niemniej, do momentu, kiedy przyjdzie mu powierzyć się opiece Freuda, pacjent będzie się znajdował w stanie ogromnego lęku, nękany jednym z tak charakterystycznych dla życia obsesyjnych konfliktów, który to konflikt kręci się wokół następującego scenariusza: z tego powodu, że przyrzekł sobie, iż odda sumę A, należy (po to, by tym, których najbardziej kocha nie przytrafiły się katastrofy podpowiadane przez jego obsesję) sprawić, by porucznik A oddał sumę szcudrej damie z poczty, która z kolei w jego obecności odda rzeczony sumę porucznikowi B, by ten z kolei oddał ją porucznikowi A, wypełniając w ten sposób przysięgę pacjenta co do litery. Oto,

gdzie prowadzi go (w ramach dedukcji odpowiedniej neurotykom) rządząca nim wewnętrzna konieczność.

Trudno nie rozpoznać w tym scenariuszu polegającym na przepływie pewnej sumy pieniędzy od porucznika A do hojnej damy z poczty, która stawiała czoła płatności, a potem od damy do innego mężczyzny, pewnego schematu. Schematu pod pewnymi względami komplementarnego, pod innymi zaś suplementarnego, w pewien sposób równoległego, w inny przeciwstawnego, który to schemat jest ekwiwalentem pierwotnej sytuacji ciężącej na duchu pacjenta oraz na wszystkim, co czyni zeń osobę o pewnym całkiem specjalnym sposobie odnoszenia się do innych zwaną neurotykiem.

Oczywiście nie sposób podążać tym scenariuszem. Pacjent świetnie wie, że nie jest nic winien ani A, ani B, ale pani z poczty, i że jeśli ten scenariusz zostanie zrealizowany, to, koniec końców, ona poniesie jego koszt. Istotnie, jak to zawsze się dzieje w życiu neurotyków, imperatywna rzeczywistość realnego oddaje miejsce temu wszystkiemu, co bezgranicznie go torturuje – temu, co go torturuje nawet w pociągu wiozącym go w dokładnie przeciwnym kierunku, niż ten, w którym miałby jechać, by dopełnić przed damą ceremonii ekspiacyjnej jawiącej mu się tak potrzebną. Mówiąc sobie na każdej stacji, że przecież może jeszcze wysiąść, zmienić pociąg, wrócić – kieruje się do Wiednia, tam gdzie później powierzy się Freudowi, i, jak tylko rozpocznie leczenie, zadowolony się po prostu wysłaniem damie z poczty zlecenia.

Ten fantazmatyczny scenariusz wygląda na mały dramat, który jest właśnie demonstracją tego, co nazywam indywidualnym mitem neurotyka.

Odbija on w istocie, w bez wątpienia niejasny dla pacjenta sposób – ale nie bezwzględnie, daleko od tego – odbija on początkową relację między ojcem, matką i mniej lub bardziej wymazaną z przeszłości osobą przyjaciela. Relacji tej nie wyjaśniają czyste fakty, poprzez które ją przedstawiłem; nabiera ona wartości jedynie poprzez podmiotowe jej pojęcie przez pacjenta.

Co nadaje temu małemu fantazmatycznemu scenariuszowi mitycznego charakteru? Nie jest to po prostu fakt, że odgrywa on ceremonię, która powtarza mniej lub bardziej dokładnie początkową relację w nim skrywaną – on ją modyfikuje, nadając jej pewien zwrot. Z jednej strony, na początku mamy dług ojca w stosunku do przyjaciela – bo pominąłem fakt, że ojciec nigdy nie odnalazł tego przyjaciela i nie mógł zwrócić długu – jest to tajemniczy element tej pierwotnej historii. Z drugiej strony w historii ojca mamy do czynienia z zamianą – zamianą kobiety biednej na kobietę bogatą. Wewnątrz fantazmatu rozwiniętego przez pacjenta obserwujemy zaś coś na kształt zamiany ostatecznych terminów każdego z tych funkcjonalnych stosunków. Pogłębienie podstawowych faktów, o które chodzi w kryzysie obsesyjnym istotnie pokazuje, że obiektem dręczącego pragnienia pacjenta, by wrócić do miejsca, gdzie znajduje się pani z poczty, nie jest wcale ta dama, ale osoba, która w niedalekiej historii pacjenta wskrzesza biedną kobietę - służącą z oberży, którą spotkał podczas manewrów w atmosferze heroicznego entuzjazmu charakteryzującego brać żołnierską, i na której to dokonał aktu podszczyptywania, podczas którego zwykle wylewa się ochoczo hojne uczucia. By uregulować dług, trzeba go poniekąd zwrócić, nie przyjacielowi, ale biednej kobiecie, a poprzez to – kobiecie bogatej, która zastępuje biedną w wyobrażonym scenariuszu.

Wszystko dzieje się tak, jakby odpowiednie impasy pierwotnej sytuacji przemieszczały się w inny punkt mitycznej sieci. Jakby to, co nierozwiązane, powtarzało się tutaj wiecznie. By dobrze to zrozumieć, trzeba dojrzeć, że w pierwotnej sytuacji takiej, jak ją wam namalowałem, istnieje podwójny dług. Mamy z jednej strony frustrację, a nawet pod pewnym względem kastrację ojca. A z drugiej strony – nigdy nie uregulowany społeczny dług w stosunku do osoby z dalszego planu – przyjaciela. Tutaj mamy do czynienia z czymś zasadniczo różnym od trójkowej relacji uznanej za typową, stojącej u podstaw rozwoju neurotycznego. Sytuacja prezentuje rodzaj dwuznaczności, rozdwojenia obrazu – element związany z długiem jest umieszczony naraz w dwóch przestrzeniach, i to właśnie z niemożliwości połączenia tych dwóch przestrzeni wynika cały dramat neurotyka. Próbując połączyć jednej z drugą, dokonuje on nawracającej operacji – nigdy nie satysfakcjonującej, nigdy nie będącej w stanie domknąć swego cyklu.

Rzeczywiście, dochodzi do tego w biegu spraw. Co dzieje się, kiedy Człowiek Szczur

powierza się Freudowi? Z początku Freud podstawia się dość bezpośrednio za relacje afektywne do przyjaciela, który pełnił rolę przewodnika, doradcy, protektora, uspokajającego opiekuna, który regularnie mówił pacjentowi, kiedy ów zwierzał mu się z leków i obsesji: „nie zrobiłeś niczego złego z tego, co wierzysz, że zrobiłeś; nie jesteś winny, nie zwracaj na to uwagi”. Freud jest zatem umieszczony w miejscu przyjaciela. I bardzo szybko rozwijają się fantazje agresywne. Nie są one związane jedynie (daleko od tego) z podstawieniem Freuda za ojca, jak interpretacja samego Freuda bezustannie pokazuje, ale raczej, tak jak w fantazmacie, z podstawieniem osoby nazywanej kobietą bogatą za przyjaciela. Rzeczywiście, bardzo szybko, w tym krótkim rodzaju delirium, które, przynajmniej u osób bardzo głęboko zneurotyzowanych, wytwarza prawdziwą fazę namiętności wewnątrz samego doświadczenia analitycznego, pacjent zaczyna sobie wyobrażać, że Freud pragnie ni mniej ni więcej, tylko oddać mu jego własną córkę, z której czyni on fantazmatycznie osobę obdarzoną wszystkimi ziemskimi dobrami, i którą to wystawia sobie on w dość niecodziennej formie osoby noszącej okulary z łańca. Jest to zatem zastąpienie Freuda dwuznaczną postacią – zarazem opiekuńczą i złowrogą – postacią, której okulary świadczą zresztą o narcystycznym stosunku z pacjentem. W tym punkcie mit łączy się z fantazmatem, a namiętne doświadczenie związane z konkretnym życiem pacjenta w relacji z analitykiem pozwala rozwiązać pewną liczbę problemów dzięki identyfikacjom, które za sobą niesie.

Wziąłem dosyć szczególny przykład. Ale chciałbym podkreślić kliniczną rzeczywistość, która może nadawać kierunek doświadczeniu analitycznemu – u naszego neurotyka mamy do czynienia z sytuacją kwartetową, która bez przerwy się odnawia, ale nie istnieje tylko na jednej płaszczyźnie.

By nadać temu schemat – powiedzmy, że jeśli chodzi o pacjenta płci męskiej, to jego równowaga moralna i psychiczna wymaga przyjęcia przezeń jego właściwej funkcji – by został on jako taki rozpoznany w swej męskiej funkcji i w swej pracy – by bezkonfliktowo przyjął wynikające z tego konsekwencje bez uczucia, że to ktoś inny na to zasługuje, czy że dostał on to przez szczęśliwy zbieg okoliczności – i musi się dziać tak, by nie wytworzył się ten wewnętrzny podział, który czyni z podmiotu wyalienowanego świadka aktów jego własnego ja. To pierwsze wymaganie. Kolejnym wymaganiem jest *jouissance*, które można opisać jako spokojne i jednoznaczne *jouissance* obiektu seksualnego, uzgodnionego z życiem pacjenta, jak tylko ów obiekt zostanie obrany.

No ale! Za każdym razem, kiedy neurotykowi się udaje, czy też wszystko zmierza do tego, by udało mu się przyjąć swą własną rolę – za każdym razem, kiedy staje się on poniekąd identyczny z samym sobą i upewnia się co do swego dobrego fundamentu w określonym kontekście społecznym, obiekt, partnerka seksualna, rozdzwaja się – tutaj pod postacią *kobiety bogatej* oraz *kobiety biednej*. To, co tak frapuje w psychologii neurotyka (by stało się to namacalne wystarczy spojrzeć niekoniecznie na sam fantazmat, ale na rzeczywiste życie pacjenta) to aura unieważnienia otaczająca w najbardziej powszechny sposób partnerki, które mają dla niego najwięcej z rzeczywistości, które są mu najbliższe, z którymi, ogólnie rzecz biorąc, ma relacje najbardziej prawowite – czy to w związku, czy w małżeństwie, Z drugiej strony pojawia się osoba, która dubluje pierwszą, będąc, w mniej lub bardziej fantazmatyczny sposób, obiektem mniej lub bardziej wyidealizowanej pasji, w stylu podobnym do miłości pasyjnej, skądinąd popychającej w stronę identyfikacji z porządkiem śmierci.

Jeśli z jednej strony, w innym aspekcie swego życia pacjent czyni wysiłek, by odnaleźć na nowo jedność swej wrażliwości, to po drugiej stronie łańcucha, przyjmując swą właściwą funkcję społeczną i właściwą mu męskość – bo wybrałem przypadek mężczyzny – widzi on, jak pojawia się wokół niego postać, z którą łączy go związek narcystyczny i – śmiertelny. To tej postaci każe on przejąć obowiązek reprezentowania go w świecie i życia zamiast niego. On nie jest naprawdę sobą – czuje się wykluczony, poza swym własnym życiem, czuje się w niezgodzie ze swą egzystencją i w ten sposób impas się powtarza.

W tej specyficznej formie narcystycznego rozdwojenia leży dramat neurotyka, względem którego wartości nabierają wszystkie rozmaite formacje mityczne, jakich przykład podałem przed chwilą w formie fantazji – można je odnaleźć z równym powodzeniem pod innymi postaciami – na

przykład w snach. Pewną liczbę takich przykładów mógłbym odnaleźć w opowieściach moich pacjentów. To w taki sposób naprawdę można pokazać pacjentowi osobliwości jego przypadku – w bardziej dla niego ścisły i ruchliwy sposób niż według tradycyjnych schematów biorących się z trójkowej tematyki kompleksu Edypa.

Chciałbym wam zacytować inny przykład i pokazać jego związek z przykładem pierwszym. Wezmę w tym celu przypadek bardzo podobny do analizy Człowieka Szczura, z tym, że dotyczy on tematu z nieco innego porządku – poezji, fikcji literackiej. Chodzi o epizod z młodości Goethego, o którym opowiada on w *Poezji i prawdzie*. Nie wybieram tego w sposób arbitralny – w istocie jest to jeden z najbardziej cenionych tematów literackich w zwierzeniach Człowieka Szczura.

III

Goethe ma 22 lata, żyje w Strasburgu. Jest to sławny epizod namiętności względem Fryderyki Brion, za którą nostalgia wygasła dopiero w dość zaawansowanym wieku. Pomaga mu ona przewyciężyć przekleństwo, które zostało na niego rzucone przez jedną z jego poprzednich miłości – Lucyndę – przekleństwo obejmujące wszelkie zbliżenie z kobietą, a zwłaszcza pocałunek w usta.

Warto tę scenę opowiedzieć. Lucynda ma siostrę, osobę zbyt finezyjną, by być uczciwą, która to siostra stara się przekonać Goethego o spustoszeniu, jakie wywołuje on w biednej dziewczynie. Prosi go, by się oddalił, i by dał jej, sprytnej musze, gażę w postaci ostatniego buziaka. Wtedy nakrywa ich Lucynda i rzece: „Niech będą przeklęte na zawsze te usta. Niech nieszczęście spadnie na pierwszą, która dostąpi ich zaszczytu”. Z pewnością nie bez powodu młodzieńczo się w siebie podówczas zapatrzony Goethe przyjmuje owo przekleństwo jako zakaz, który od tamtej pory będzie mu zagradzał drogę we wszelkich miłosnych przedsięwzięciach. Opowiada nam on zatem w jaki sposób, rozpalony odkryciem czarującej dziewczyny, którą była Fryderyka Brion, udaje mu się przewyciężyć klątwę, w związku z czym ma poczucie triumfu po owym spotkaniu z czymś mocniejszym niż narzucane sobie wewnętrzne zakazy.

Jest to jeden z najbardziej enigmatycznych epizodów z życia Goethego, nie mniej enigmatyczne jest również porzucenie przez niego Fryderyki. Także *Goethesforscher* – tak, jak fani Stendhala czy Bossueta – ci bardzo specyficzni ludzie przywiązani do jednego z tych autorów, którego słowa nadały formę naszym uczuciom – ludzie, którzy poświęcają swój czas, by przetrząsać szuflady w poszukiwaniu śladów geniuszu – tak, *Goethesforscher* również pochylił się nad tym faktem. Podali szereg powodów, których katalogu nie chciałbym teraz przedstawiać. Jest pewne, że wszystkie one pachną tym rodzajem filistynizmu, który wiąże się z badaniami prowadzonymi w obszarze publicznym. Nie wykluczone też, że w objawach nerwicy znajduje się zawsze pewne niejasne zatajanie filistynizmu, bo o takie właśnie objawy chodzi w przypadku Goethego, jak pokażą wam rozważania, które pragnę teraz rozwinąć.

Istnieje liczba enigmatycznych cech w sposobie, w jaki Goethe podchodzi do tej przygody i powiedziałbym niemal, że to w tym, co ją bezpośrednio poprzedzało, znajduje się klucz problemu.

Żeby rzec krótko, Goethe, który mieszka wówczas w Strasburgu z jednym ze swych przyjaciół zna od dawna w małym miasteczku pewną otwartą, miłą i uprzejmą rodzinę pastora Brion. Ale kiedy tam jedzie, otacza się ostrożnościami, których zabawny charakter opisuje nam później w biografii – prawdę mówiąc, kiedy spojrzy się na detale, nie sposób nie zdziwić się, że zdradzają one tak określoną strukturę.

Wydaje mu się najpierw, że powinien tam iść w przebraniu. Goethe, syn wielkiego frankfurckiego mieszczanina, który w kompanii odznacza się swobodą manier, prestiżem ubioru i stylem społecznej wyższości, przebiera się za studenta teologii, w specjalnie sponiewieraną sutannę. Wyjeżdża tam z przyjacielem i całą drogę parszają śmiechem. Ale czuje się on, rzecz jasna, bardzo nie w sosie, od momentu, kiedy rzeczywistość oczywistego uwiedzenia młodej dziewczyny, która to rzeczywistość ukazuje się w tle tej rodzinnej atmosfery, sprawia, że zauważa on, iż jeśli chce się on pokazać w pełnej krasie, musi jak najszybciej zmienić zaskakujący kostium, który nie gra na jego korzyść.

Uzasadnienia jakie podaje odnośnie przebrania są bardzo dziwne. Wspomina nic innego, jak przebrania, pod którymi bogowie schodzili do śmiertelników – co, jak sam podkreśla, z pewnością oznacza (w stylu nastolatka, jakim wtedy był) coś więcej niż zapatrzenie w siebie – coś, co sprowadza się do urojeniowej megalomanii. Jeśli spojrzymy na rzeczy w detalu, tekst Goethego powie nam, co on o tym myślał. Chodzi o to, że przebierając się, bogowie chcieli przede wszystkim oszczędzić sobie problemu i był to dla nich sposób na to, by nie musieć odczuwać bliskości ze śmiertelnikami jako zniewagi. Tym, czego utratą bogowie najbardziej ryzykują schodząc do śmiertelników, jest nieśmiertelność i jedynym sposobem, by tego uniknąć, jest dokładnie postawienie się na ich poziomie.

Chodzi rzeczywiście o coś takiego. Ciąg dalszy pokazuje to jeszcze lepiej. Kiedy Goethe wraca do Strasburga, by na nowo podjąć swe dostojne zajęcia, nie bez, niespiesznej nieco, świadomości, że niedelikatnie jest prezentować się w nieswojej formie, mogło to bowiem zmylić zaufanie ludzi, którzy przyjęli go z tak czarującą gościnnością – w opowiadaniu naprawdę odnajdujemy nawet nutę *gemütlich*.

Wraca zatem do Strasburga. Ale zamiast wcielić w życie pragnienie powrotu do miasteczka szykownie odzianym, nie znajduje nic lepszego od zamiany swego pierwszego przebrania na inne, które pożyczka od kelnera z oberży. Zjawi się tym razem przebrany jeszcze dziwniej, jeszcze bardziej niezgodnie niż za pierwszym razem i, co więcej, ucharakteryzowany na starca. Bez wątpienia stawia całą rzecz jako grę, ale owa gra staje się coraz bardziej znacząca – tak naprawdę nie jest już w pozycji studenta teologii, ale nieco niżej. Błądnuje. A wszystko to jest z rozmysłem wymieszane z serią detali, które sprawiają w sumie, że wszyscy, którzy przyczyniają się do tej farsy słusznie przeczuwają, że chodzi tu ściśle o grę seksualną – paradę.

Są również pewne detale, które mają też wartość, jeśli możemy tak rzec, niedokładności. Jak wskazuje to tytuł *Dichtung und Wahrheit*, Goethe miał świadomość, że posiadał prawo organizowania i uzgadniania swych wspomnień z fikcją zatykającą ich luki, których bez wątpienia nie mógł wypełnić w inny sposób. Zapał tych, o których mówiłem przed chwilą, że śledzili każdy ślad wielkich ludzi pokazał niedokładność pewnych szczegółów, które są tym bardziej odkrywcze niż coś, co można by nazwać rzeczywistymi intencjami całej sceny. Kiedy Goethe zaprezentował się ucharakteryzowany na starca w przebraniu kelnera z oberży, i kiedy to długo zabawiał się *qui-pro-quo*, które z tego wynikło, przyniósł on, jak mówi, ciasto chrzcielne – również pożyczone [w oberży]. Ale, jak pokazali *Goethesforscher*, sześć miesięcy przed ani sześć miesięcy po epizodzie z Fryderyką, nie było w okręgu żadnego chrztu. Ciasto chrzcielne, tradycyjny hołd dla pastora, nie może być niczym innym, jak fantazją Goethego i nabiera ono w naszych oczach znaczenia. Pociąga za sobą funkcję ojcowską, ale właśnie dokładnie w taki sposób, że Goethe określa się jako ktoś, kto wnosi coś mając jedynie zewnętrzny związek z ceremonią – czyni się koncelebransem, a nie głównym bohaterem. W taki sposób, że cała ceremonia wymigiwania się wygląda nie tylko na grę, ale głębiej – na środek ostrożności, układając się w rejestrze tego, co niedawno nazywałem rozdwojeniem osobowej funkcji podmiotu w mitycznych przejawach neurotyka.

Dlaczego Goethe tak robi? Widać bardzo wyraźnie, że się boi – jak pokaże to ciąg dalszy - ów związek [z Fryderyką] będzie się miał tylko gorzej. Poza odczarowaniem przekleństwa po tym, jak Goethe odważył się przestąpić przez barierę, zdajemy sobie sprawę poprzez wszelkie rodzaje form zamiennych – pojęcie substytucji jest wskazane wprost w tekście Goethego – że jego obawy względem realizacji tej miłości bez ustanku rosły. Wszystkie powody, którymi można by to wytłumaczyć – pragnienie, by się nie wiązać, aby zachować dostojne przeznaczenie poety, czy nawet różnicę społeczną – są to jedynie formy zrationalizowane – ubranie, powierzchnia głębszego prądu, jakim jest ucieczka przed upragnionym obiektem. Widzimy, że wobec obiektu znowu wytwarza się rozdwojenie podmiotu, jego alienacja w stosunku do samego siebie, manewry, poprzez które daje sobie zamiennik, nad którym to muszą ciążyć groźby śmierci. Jeśli zintegruje ten substytut z samym sobą, niemożliwe, by osiągnął cel.

Dzisiejszego wieczora mogę wam jedynie przedstawić ogólną tematyzację tej przygody, ale pamiętajcie, że jest tam również siostra – sobowtór Fryderyki, która uzupełnia mityczną strukturę sytuacji. Jeśli weźmiecie tekst Goethego, zobaczycie, że to, co w pospiesznym exposé może wydać

się konstrukcją, jest potwierdzone rozmaitymi detalami, skończywszy na analogii tej historii do dobrze znanej historii wikarego Wakefield przedstawionej przez Goethego – literackiej, fantazmatycznej transpozycji jego własnej przygody.

IV

Tak podstawowy dla impasów poczwórny system nierozstrzygalność życiowej sytuacji neurotyków ma inną strukturę niż ta, którą tradycyjnie się podaje – czyli kazirodczego pragnienia matki, zakazu ojca i, wokół tego wszystkiego, proliferacji mniej lub bardziej bujnych symptomów. Wydaje mi się, że ta różnica powinna nas prowadzić do przedyskutowania ogólnej antropologii, która wynika z doktryny analitycznej. Jednym słowem, cały schemat Edypa jest do skrytykowania. Nie mogę się tego podjąć dziś wieczorem, ale nie mogę jednakowoż nie wskazać czwartego elementu, o którym mowa.

Przyjmijmy, że najbardziej normatywna sytuacja życiowa współczesnego podmiotu, którą jest, w zredukowanej postaci, rodzina małżeńska, wiąże się z faktem, że ojciec jest reprezentantem, wcieleniem symbolicznej funkcji, która koncentruje w sobie to, co najbardziej istotne w innych strukturach kulturowych, czyli *jouissance* okiełznane [*paisible*], czy raczej – symboliczne, kulturowo określone i ufundowane *jouissance* miłości matki, to znaczy, biegun, do którego podmiot jest przytwierdzony więzią bezdyskusyjnie naturalną. Przyjęcie funkcji ojca zakłada prostą relację symboliczną, gdzie symboliczne pokrywałoby w pełni realne. Trzeba, żeby ojciec nie był jedynie imieniem ojca, ale żeby reprezentował w całej pełni symboliczną wartość skryzalizowaną w jego funkcji. Ale jasnym jest, że takie całkowite pokrycie realnego przez symboliczne jest absolutnie nie do pojęcia. Przynajmniej w takiej strukturze społecznej jak nasza, ojciec jest zawsze z jakiejś strony ojcem niezgodnym ze swoją funkcją, ojcem brakującym, ojcem poniżonym, jak powiedziała M. Claudel. Zawsze istnieje ekstremalnie widoczna niezgoda między tym, co jest postrzegane przez podmiot na płaszczyźnie realnego a funkcją symboliczną. To w tym rozziewie leży to, co sprawia, że kompleks Edypa ma swą wartość – wcale nie normatywizującą, ale najczęściej – patogenną.

Nie jest to coś, dzięki czemu zrobilibyśmy duży postęp. Kolejny krok, który pozwala nam zrozumieć, o co chodzi w strukturze poczwórnej jest jednocześnie drugim największym odkryciem psychoanalizy, nie mniej ważnym niż symboliczna funkcja Edypa – chodzi o relację narcystyczną.

Narcystyczna relacja względem bliźniego jest podstawowym doświadczeniem wyobrazeniowego rozwoju bytu ludzkiego. Jako doświadczenie ja, jego funkcja jest decydująca dla konstytucji podmiotu. Czym jest ja, jeśli nie czymś, co podmiot doświadcza przede wszystkim jako coś wobec niego obcego wewnątrz siebie samego. To przede wszystkim w innym – bardziej zaawansowanym i bardziej doskonałym niż on sam – podmiot się widzi. W szczególności widzi swój własny obraz w lustrze postrzegany jako całość, podczas gdy on sam się takim nie doświadcza, żyje za to w pierwotnym chaosie wszystkich funkcji motorycznych i afektywnych związanym z sześcioma pierwszymi miesiącami po porodzie. Relacja podmiotu względem jego własnej realizacji jest zawsze antycypowana, umieszcza go ona na płaszczyźnie głębokiego niedostatku i świadczy o pęknięciu, prymarnym rozerwaniu, o porzuceniu [*déréliction*], by posłużyć się terminem heidegeriańskim. W ten sposób we wszystkich relacjach wyobrazeniowych przejawia się doświadczenie śmierci. Bez wątplenia jest to doświadczenie konstytutywne dla wszystkich objawów kondycji ludzkiej, ale jednak w życiu neurotyka przejawia się ono na specjalnych prawach.

Jeśli ojciec wyobrazeniowy i ojciec symboliczny są najczęściej zasadniczo odróżnialni, nie dzieje się tak jedynie ze względu na strukturę, którą staram się wskazać, ale też z powodu historycznego, przypadkowego i osobliwego dla każdego podmiotu. W przypadku neurotyków, jest bardzo częstym, że osoba ojca, przez jakieś wydarzenie z rzeczywistego życia, jest rozdwojona. Czy w przypadku, kiedy ojciec umarł przedwcześnie i zastąpił go ojczym, z którym podmiot w łatwy sposób znajduje się w bardziej relacji braterskiej relacji, która naturalnie wejdzie na

plaszczynę zazdrosnej męskości będącej agresywnym wymiarem relacji narcystycznej, czy też w przypadku zniknięcia matki, kiedy życiowe okoliczności dają dostęp do grupy rodzinnej innej matce, która nie jest już [matką] prawdziwą. Czy też postać przyjaciela wprowadzająca stosunek związany ze śmiercią w symboliczny sposób, jednocześnie wcielając go w rzeczywistości. Bardzo często, jak zaznaczyłem, chodzi o przyjaciela – tak jak w Człowieku Szczurze – ten nieznany, nigdy nie odnaleziony przyjaciel gra w rodzinnej legendzie bardzo istotną rolę. Wszystko wińczy mityczny kwartet. Daje się on zintegrować z historią podmiotu – źle go rozpoznać znaczy błędnie rozpoznać najważniejszy dynamiczny element samej kuracji. Musimy to stanowczo podkreślić.

Czym jest czwarty element? Ah, określe go tego wieczora jako śmierć.

Śmierć daje się świetnie pojąć jako element mediacyjny. Przed tym, jak teoria freudowska położyła akcent (wobec istnienia ojca) na funkcję będącą jednocześnie funkcją mowy i miłości, heglowska metafizyka nie zawahała się skonstruować pełnej fenomenologii ludzkich relacji wokół pośrednictwa śmierci, trzeciego elementu postępu, poprzez który człowiek humanizuje się w relacji do bliźniego. Można rzec, że teoria narcyzmu, którą przed chwilą wyłożyłem, tłumaczy pewne fakty, które u Hegla są enigmatyczne. Koniec końców, aby dialektyka walki na śmierć i życie, walki o czysty prestiż, mogła się w ogóle odbyć, trzeba, żeby śmierć nie była zrealizowana, bo ruch dialektyki zostałby zatrzymany z braku stron. Zatem musi być ona wyobrażona. A więc w relacji narcystycznej chodzi o śmierć – wyobrażoną, wyobrażeniową. To śmierć wyobrażeniowa i wyobrażona wprowadza się również do dialektyki dramatu edypalnego, i o nią chodzi w formacji nerwicy – i, być może, do pewnego stopnia, w czymś, co znaczenie przekracza formację neurotyka, czyli egzystencjalną postawę charakterystyczną człowiekowi współczesnemu.

Nie trzeba by mnie zbyt nakłaniać, bym stwierdził, że to, co jest elementem mediującym w rzeczywistym doświadczeniu analitycznym, jest czymś z porządku słowa i symbolu – coś, co w innym języku można opisać jako akt wiary. Ale z pewnością analiza tego nie wymaga, ani nie pociąga za sobą. To, o czym mówię, należy raczej do rejestru ostatnich słów wypowiedzianych przez Goethego, którego przykładu nie przywoływałem dzisiaj jedynie przez przypadek.

Można powiedzieć, że Goethe, za sprawą inspirującego wpływu, w drodze przeżywanej obecności, niezwykle przeniknął, ożywił i poruszył całą myśl freudowską. Freud zwierzył się, że to lektura wierszy Goethego sprawiła, iż oddał się studiom medycznym, i tym samym – zadecydowała o jego przeznaczeniu, jednak z myśli Goethego mało wpłynęło na jego dzieło. To przy pomocy ostatnich słów Goethego określe motor doświadczenia analitycznego – tych dobrze znanych słów, które wymówił z otwartymi oczami przed zanurzeniem się w czarnej dziurze – *Mehr licht* (więcej światła).

Tłum: Wojciech Bączkowski